



# WIECZORY RODZINNE

TYGODNIK ILLUSTROWANY DLA DZIECI



Lecz skowronek ptaszek szary  
Śpiewa wszystkim bez ustanku,  
A więc mu rzekł bocian stary:  
„Śpiewaj sobie mój kochaku,

Ty wciąż śpiewaj, ja klekoce,  
Ty wleć z pieśnią, ja zostanę,  
Choć odleczę to powrócę,  
Gdzie zagony poorane.”

Z. Morawska.

## PRZYMNAŻANIE KWIATKÓW

skreślił

E. JANKOWSKI.

### GDZIE ZAGONY POORANE.

Już spłynęły białe śniegi,  
Ziemię z pod nich widać czarną,  
Rzeki pełne wód po brzegi,  
Ptaszki pieśń zawodzą gwurną.

Słonko złote się prześwieca  
Przez szarawych mgieł opary,  
Życie wiosny się roznieca;  
I przyleciał bocian stary.

Zasiadł znowu na swem gnieździe  
I klekoce po dawnemu  
Na stodołę tuż przy wjeździe  
I dziwuje się wszystkiemu:

Czarnej wronie co na roli  
Jako stara gospodyni  
Szuka sobie dobrej doli,  
I porządek w ziemi czyni.

Dziwuje się skowronkowi,  
Że tak ciągle w górę wzlata,  
I piosenką człowiekowi,  
Ciężką pracę wciąż przeplata.

„Biała lilijka” pisze do Redakcyi Wieczorów, że posiała już daktyle, pomarańcze i migdały, ale nie wie jak postąpić z figami. Myślę, że niejedna z miłych czytelniczek tego Pisma i nieraz w podobnym znajdzie się kłopotcie. Możebyśmy tedy rozpatrzyli się w jaki to sposób dałoby się kilkanaście przynajmniej ładnych roślin, do hodowli w pokoju odpowiednich, wyhodować jak to mówią, własnymi rękoma? Przecież takie wychowanki zawsze są najmiłsze, bo to niby dziateczki nasze, a każdy na nich nowy listek niemalą może sprawić radość, cóż dopiero, gdy zakwitną poraz pierwszy!

Przy umiejętności, wprawie i staraniu, można w pokoju mnóstwo roślin z małego wyhodować, ale my tymczasem weźmiemy się do łatwiejszych.

Przedewszystkiem więc hodowla z nasion.

Pomarańcze, cytryny, daktyle, łatwo mieć, bo się te owoce w domu jada. Figi w pokoju rozmno-



żyć trudno, ale ze świeżych fig wyjęte ziarnka mogą również wschodzieć, tylko, że wschodzą nie łatwo i nie prędko. Oprócz tego siewki wyradzają się i zwykle nie są tak dobre jak matka ich. W pokoju owoców nie rodzą. Oprócz tego jednak można niedrogo kupić nasion palmłatakich, jak: karłatka (*Chamaerops humilis*), palma wachlarzowa (*Latania borbonica*), palma australaska (*Corypha australis*), waszyngtonia (*Washingtonia*), dalej roślin z liścia ozdobnych, jak *Aucuba japonica*, *Aralia Sieboldii*, kawa—lub ozdobnych z owocu, jak: *Ardisia crenulata*, *Rivinia laevis* lub wreszcie kwiatowych jak: *Clerodendron splendens*, *Gardenia*, *Calla aethiopica*, *Abutilon*. Oczywiście trzeba się starać o świeże nasiona i zaraz po otrzymaniu wysiać je.

Najłatwiej wschodzą nasiona, gdy posiejemy je w doniczki napełnione prawie do wierzchu rzeczonym piaskiem, mniejsze na  $\frac{1}{2}$  cala, a większe głębiej nieco, piasek mocno zlejemy wodą, doniczkę nakryjemy kawałkiem szyby i postawimy blisko pieca, jeżeli w zimie, albo na szafie, gdzie jest zawsze ciepło, jeżeli na wiosnę, gdy się już w piecach nie pali. Doniczki trzeba postawić na spodkach, żeby szafy nie zawilgocić. Gdyby piasek nieco wysechł, to trzeba go podlać z wierzchu, albo też nalać wody na spodek, to od spodu wsiąknie. Jak tylko roślinki ukażą pierwszy listek, oprócz liścieni (listków nasiennych) trzeba je zaraz poprzესadzać pojedynczo w małe doniczki (sadzónkowe), w ziemię złożoną z  $\frac{1}{3}$  części wrzosowej  $\frac{1}{3}$  liściowej i  $\frac{1}{3}$  części piasku. Zresztą ziemi doniczkowej można dostać u ogrodników, ale do takich młodych roślinek trzeba dodać do niej jeszcze  $\frac{1}{4}$  części piasku. Siewki wyjmujemy z nienaruszonymi korzonkami, t. j. wysypujemy cały piasek z doniczki wraz z siewkami i ostrożnie wydobywamy każdą z nich, poczem sadzimy, korzonków nie łamiąc, ani do góry nie zaginając; po przesadzeniu trzeba podlać obficie przez sitko i doniczki jeszcze na parę dni na szafie postawić, żeby roślinom było ciepło, ale o ile można jak najbliżej światła, a potem na oknie. Skoro korzenie wypełnią doniczkę i dolnym otworem wychodzić zaczną, trzeba przesadzić w większą doniczkę, co się powtarza za każdym razem, gdy się korzonki dołem wydostawać zaczną. Bardzo dużo roślin kwitnących można rozmnożyć w pokoju z sadzonek, czyli rozgałęzień z liśćmi odjętych. Tak rozmnażają się ułanki (*Fuchsia*), muszkatele (*Pelargonium*), ukośnice krzewiste (*Begonia*), złocienie (*Chrysanthemum*) i t. p. Te również najłatwiej udają się w piasku. Do sadzónkowania stosowną porą jest wiosna, aż do początku lata. Odcina się pędy z kilkoma liśćmi, ostrym nożykiem tuż pod dolnym liściem, który się odejmuje i wtyka się sadzónkę w doniczkę, w mokry piasek; poczem mocno się ją palcami obcisła. Teraz należy doniczkę nakryć szklanką lub kloszem od sera, żeby parowanie liśćmi zmniejszyć, bo sadzónka nie mając korzeni, nie ma czem czerpać wody, by ją do liści, którym paruje przesłać. Codzień rano zdejmujemy się klosz, jeżeli na jego wewnętrznej powierzchni stoi rosa i prędko wytarłszy gałgankiem, znowu się nim sadzónki przykrywa. Gdyby piasek wysechł, trzeba sadzónki i piasek obficie zrosić wodą za pomocą rośnika lub choćby ustami.

Po jakimś czasie sadzónki zaczną wypuszczać liście, a gdy je palcami do góry lekko pociągniemy, to z piasku wychodzić nie chcą. Teraz należy im dopuszczać powietrza, unosząc szklanki i opierając ją na patyczkach, podlewanie też wzmocnić, a po jakimś czasie, gdy już się zakorzenia,

szklankę usunąć i po kilku dniach sadzónki pojedynczo w sadzónkowe doniczki, jak siewki poprzესadzać.

Kto się w to wprawi, ten może próbować wielu różnych roślin, chociaż w ogóle powiedzieć można, że udadzą mu się łatwiej rośliny miękkie, zielne, aniżeli twarde. Zawsze jednak tylko początek będzie trudny, ale na trudności następczące się przytem, gotów jestem podać kochanym czytelnikom „Wieczorów” rady, o ile ich zażądataj.

## W pustyniach Australii.

PRZEZ

Włodysława Umińskiego.

(Dalszy ciąg).

VIII.

B O R B O B I.

Odnalazłszy doktora, Dugan pospieszał w kierunku Mount Desolation, aby wziąć udział w uroczystościach borbobi, które miały się tam odbyć nazajutrz. Pragnął on bowiem, jak wiemy, wyszukać sobie tam jakiego śmiałka, któryby mu towarzyszył do środka tajemniczego kontynentu australskiego. Przebywano okolicę lekko pofalowaną wzgórkami, które ciągnęły się równolegle do Dividing Range. Karawana, zbliżając się do miejsca, obranego na turniej, napotykała coraz częściej plemiona dzikich, dążących w tę samą stronę, co i ona. Widziano liczne obozowiska, krajowcy bowiem zatrzymywali się, aby się odpowiednio przygotować do borbobi.

Jedni z namaszczeniem malowali sobie czerwoną lub żółtą farbą szerokie pasy i koła na czole, policzkach i całym ciele; drudzy, w mniemaniu, iż natura nie utworzyła ich jeszcze dość czarnymi, pociągali skórę grubą warstwą tłuszczu, pomieszanego z małym tłuczonym węglem. Wszyscy jednak bez wyjątku najusilniej pracowali nad swoimi fryzurami.

Przy pomocy wosku, budowali z włosów prawdziwe piramidy, które jeszcze przystrajali w pióra.

Wszystko zmierzało do tego, aby uczynić się jaknajstraszniejszym w oczach nieprzyjaciela.

Niektórzy z dumą kładli na swe nagie ciała rozmaite części ubrania, zdobyte, niewiadomo gdzie i jakim sposobem. Nasi podróżni dostrzegli pomiędzy czarnymi elegantów w koszulach, dziurawych kapeluszach, kurtkach, a nawet jednego, paradującego w gorscie.

— Ciekawym, skąd ten łotr wziął gorset! — wołał Dugan, który nie mógł powstrzymać się od śmiechu na widok maskarady.

— Założyłbym się, że zamordował kogoś, albo zrabował, — rzekł Bob. Murzyn dla posiadania ubrania nie cofnie się przed niczem; zdaje mu się, że zostanie białym, skoro wciągnie jaki łachman na grzbiet.

— Ba, i wtedy traktuje z góry swoich współplemienników, — dodał Dugan.

— Ah! żeby gdzie spotkał łotrów, którzy mnie onegdaj tak nieczemnie złupili! — zawołał Hali.

— O, oni nie głupi włączyć w drogę białym, nie mając czystego sumienia, — odparł Artur; — wiedzą, że przypłaciłby skórą swoją sprawkę, jeżeli naturalnie nie sądzą, iż zostali obdarowani dobrowolnie.

— Co?! Dobrowolnie?! — oburzył się doktor. — Cóż to za niesmaczne żarty?!



Halm wyrzekł te słowa z tak komiczną godnością, iż wszyscy jego towarzysze parsknęli niepohamowanym śmiechem. Ten wybuch wesołości wprowadził naszego entomologa na cały dzień w jak najgorszy humor. Szanowny doktor czuł się mocno dotkniętym powątpiewaniem o jego odwagę i przyrzekł sobie w duchu spełnić przy pierwszej sposobności jakiś czyn zuchowaty, któryby przywrócił mu zachwianą dobrą opinię.

Dotarwszy do punktu o 3 kilometry zaledwie odległego od Mount Desolation, karawana nie posuwała się już dalej.

Dugan obawiał się pokazywać w pośród tak licznego zgromadzenia, nieuprzedziwszy dzikich o swoich pokojowych zamiarach; inaczej nasi podróżni łatwo mogli być wzięci za nieprzyjaciół i ściągnąć na siebie dużo przykrości. Rozłożono się tedy obozem na pochyłości góry i wysłano Abła, ażeby się porozumiał ze swymi współziomkami.

Nasz student medycyny, pozostawivszy broń, udał się do plemienia, które koczowało w pobliżu, i zjednawszy sobie jego członków tytunem, objawił im zamiary towarzyszy.

Czarni zgodzili się wziąć pod swoją opiekę podróżnych i zaraz przeniesli się pod bok karawany. Dżicy, z którymi wyprawa zrobiła znajomość, byli widocznie gotowi wstąpić w szranki. Każdy z mężczyzn, pomalowany jaskrawo i uczesany starannie, dźwigał ciężką, szeroką szablę drewnianą, owalną tarczę, pęk włóczni, po dwie nolle-nolle, i po kilka humerangów. Nawet kobiety pomazały sobie twarze czerwoną ochrą i żółtą gliną, idąc za przykładem swych mężów. W tym stroju czarni przedstawiali się bardzo imponująco i wojowniczo.

— Będziemy mieli ciekawe widowisko, jak te czupiradła zaczną się bić pomiędzy sobą! — zawołał Jerzy, klaszcząc w dłonie. Chodźmy tam, wuju, jak najprędzej! — dodał całując w rękę Dugana. — Obawiam się, żeby borbobi nie zaczęło się, zanim staniemy na placu walki.

— Nie kłopotz się o to, mój chłopcze, — uspakajał go Dugan, — zdążymy na czas.

— Czy pojedziemy na wielbłądach?

— A to po co? Dżicy rozbiegliby się na cztery wiatry, ujrząwszy te zwierzęta całkiem sobie nie znane. Udamy się na miejsce pieszo.

Jerzy nie mógł się doczekać chwili, przeznaczonej do wyruszenia w drogę; z radości nie jadł nic na obiad, lecz rozdał swą porcję dzikim, którzy pochłonęli poczęstunek w mgnieniu oka.

Dugan widząc, że jego czarni przyjaciele są głodni niesłychanie, zapytał ich, dlaczego nie postarają się ubić kangara.

Murzyni wszakże, pomimo wilczego apetytu, nie myśleli skorzystać z jego rady; jeden z nich objaśnił, iż w dzień turnieju nikt nie chodzi na polowanie, aby nie marnować sił, potrzebnych do walki.

Cóż było robić! Dugan musiał ofiarować worek mąki na podpłomyki, chcąc zupełnie zjednać sobie czarnych.

O trzeciej po południu dzikie plemię zaspokoivszy głód, ruszyło pod górę; nasi podróżni, oprócz Boba, który pozostał w obozie, udali się w ślad za nimi.

Uszedłszy parę kilometrów dość gęstym lasem, ujrano nagle rozległą polanę, porośłą gęstą trawą. Po drugiej stronie, poza strumykem, który płynął środkiem łąki, widniała czarna linja lasu, ciągnącego się wyżej ku szczytowi Mount Desolation, dżicy zatrzymali się tutaj, dając znaki, iż znajdują się już na miejscu, przeznaczonem do odbywania turnieju.

Nasi podróżni obejrzelni się dokoła.

Na skraju lasu gumowego, którego drzewa, o białej korze, jaskrawo odbijały w ukośnych promieniach słońca na ciemnem, niemal czarnem tle gąszczy, widniały liczne szałas. W pośród nich roilo się mnóstwo dziwacznych, ciemnych, okropnych postaci; rzechy można, że to zgromadzenie dyabłów i czarownic, zamieszkujących jaskinie pasma Dividing Range które zasłaniało od wschodu daleki horyzont, niby wał długi i poszczerbiony.

Zbliża wojownicy przystrojeni w białe pióra, sterczące

w półkole na ich głowach, przypominali bardzo papugi kakaadu.

Tu i owdzie rozrzucone grupy przypatrywały się tańcom, a raczej szalonym, bezładnym skokom jakiegoś dryblasa wysokiego i chudego; zamiast muzyki odzywały się długie, wściekle wrzaski, powtarzające się dobitnem echem w gąszczy leśnym.

Kiedy tancerz, obłany potem, rzucił się bezwładnie na ziemię, jakiś siwowłosy starzec wybiegł naprzód i potrząsając po nad głową pękiem dziryków, wydał straszliwe wycie.

Na ten znak wszystkie oczy zwróciły się na dalekie zarosła, czerniejące nieregularnymi plamami na żółtawo brunatnem tle łąki i ze wszystkich piersi wypadł huragan ogłuszających wrzasków. Wojownicy, z tarczami na lewem ramieniu, z szablami, maczugami, lub lancami w prawej dłoni, rzucili się naprzeciw nieprzyjaciela.

— Oho, zaczyna się! — zawołał radośnie Jerzy, wysuwając się z pomiędzy zarosli, wpośród których nasi podróżni obrali sobie punkt obserwacyjny.

— Czy pójdziemy za nimi? — zagadnął Halm z grymasem.

— O tak! — odparł Abel, któremu oczy błyszczały — ja to muszę zobaczyć zbliśka, to takie piękne!

— Piękne? — powtórzył Dugan — chyba w twoich oczach, mój chłopcze; mnie się to wydaje śmiesznem.

Abel nic nie odrzekł, lecz, drżąc z niecierpliwości, podążył wślad za Jerzym, który biegł tuż za wojownikami.

Kobiety, a nawet dzieci, również opuściły koczowisko, aby nie stracić z oczu walczących.

Oba oddziały, nie przestając wydawać ogłuszających wrzasków, zbliżyły się po zygzakowatych liniach i wreszcie zetknęły się na środku łąki. Zapanaowało krótkie milczenie; kilku dzikich wysunęło się naprzód, szukając przeciwników.

Wyzwania ich zostały przyjęte; z przeciwnej strony ukazało się trzech ochotników i pojedynek rozpoczął się wpośród okrzyków, które teraz zabrzmiały z podwójną siłą.

Walczący, ukryci poza swemi tarczami, wymierzali sobie ciosy oburzymiemi, szerokimi szablami drewnianymi, które z trudnością zdołali podźwignąć.

Nie ulega wątpliwości, iż żadna, nawet australaska czaszka, nie wytrzymałaby podobnego uderzenia; doktor spodziewał się więc lada chwila ujrzeć którego z przeciwników padającego na ziemię. Omylił się jednak; dżicy nadzwyczaj zręcznie zasłaniaли się, tak iż szable zawsze trafiały w tarcze. Podczas gdy jeden zamierzał się, drugi uderzał go i tak ciągle, bez przerwy.

Nasi podróżni słyszeli głuchoe odgłosy odpieranych ciosów i przeraźliwe piski starych kobiet, które zachęcały wojowników na wszelkie sposoby.

— Ależ, bijąc się tak, dżicy nigdy nie wyrządzą sobie krzywdy! — zawołał Jerzy, śmiejąc się.

— Zapewne, — odparł Dugan — rzadko bardzo walka kończy się u nich rozlewem krwi.

— O, jeden upadł! — przerwał doktor, chwytając Dugana za rękaw.

— Prawda, — potwierdził Jerzy — tarcza pękła mu na dwoje.

Nasi podróżni, ujrząwszy powalonego wojownika, sądzili iż zwycięzca roztrzaska mu czaszkę. Prawdopodobnie pojedynek zakończyłby się tak, gdyby nie wdanie się kobiet.

Stare czarownice, które zagrzewały okrzykami walczących, powstrzymały swymi długimi kijami szablę, wzniesioną po nad leżącym wojownikiem i piskliwym głosem prosiły o darowanie mu życia. Wsławienie się ich odniosło pożądany skutek, zwycięzca odstąpił.

W kilka minut potem powtórzyła się taka sama scena; kobiety brały pod opiekę każdego pobitego w walce.

Gdy pojedynek się skończył pomiędzy pierwszymi, parami w szranki wystąpili nowi zapaśnicy. Bójka stawała się ogólną.

Jerzy i Abel wysunęli się tak bardzo naprzód, iż stali o kilkanaście kroków zaledwie od walczących i naprózno Du-



gan wołał na nich, aby się cofnęli w zarośla, gdzie stał z Tomem i doktorem; nie słyszeli go wśród gwaru, jaki panował dokoła.

Podróżnik zbliżył się więc do nich.

— Nie radzę wam stać tutaj, bo możecie co oberwać, — rzekł.

— Nie obawiaj się o nas, kochany wuju! — zawołał Jerzy — mamy nabite dubeltówki i rewolwery w pogotowiu.

— Dziecko jesteś! — odparł Dugan. — Czyż sądzisz, iż dalibyśmy sobie radę z tym tłumem rozszalałych ludźców!? Dzicy zarzuciliby nas swoimi bumerangami i dzirykami.

downą zręcznością, unikali świszczących dokoła pocisków, z których żaden nie dosięgnął celu. Maczugi i bumerangi odbijały się od puklerzy drewnianych, nie czyniąc najmniejszej szkody wojownikom; czarni unikali dziryków, odskakując w lewo lub w prawo; wiedzieli bowiem, że ich długie ostrze z łatwością przebija tarczę i ranić może jej właściciela. Po dziesięciu minutach tej bitwy, toczony w pewnej odległości, nasi podróżni nie spostrzegli ani jednego rannego lub zabitego na placu. Nieprzyjacielskie oddziały podchodziły do siebie, aż wreszcie znowu powrócono do szabel.

(d. c. n.)

## PANTERA ŚNIEGOWA.

Pantera tak zwana śniegowa, którą widzicie na rycinie naszej, odmienna od zwyczajnej pantery indyjskiej i afrykańskiej, jest rodem z Azji środkowej i jak piszą uczeni przyrodnicy, raz tylko widziany był Europie okaz jej przywieziony żywy. Ogród zoologiczny w Paryżu, w początkach roku bieżącego otrzymał ją w darze od księcia Gagarina, sekretarza ambasady rosyjskiej w Bucharze. Schwytana w pobliżu Taszkentu w górach Pamiru, z polecenia gubernatora Turkestanu, przywieziona została do Buhary w zakrytym powozie. Pod dozorem zaufanego człowieka, prywatną drogą dostała się następnie do rąk konsula francuzkiego w Baku, gdyż zarząd Dnieprowej drogi żelaznej, stawiał trudności w przewiezieniu dzikiej podróżniczki. Konsul towarzyszył jej osobiście do Batum w przewozie przez morze Kaspijskie, a następnie przez morze Czarne i powierzył ją kapitanowi statku kompanii francuzkiej, który ją przywiózł do Marsylii, gdzie przyjmowaną była przez dyrektora ogrodu zoologicznego i po kilku dniach wypoczynku w zupełnie dobrem zdrowiu odstawioną została do Paryża. Składem swoim, a szczególnie budową czaszki i szczęk, różni się ona od zwyczajnej pantery, również jak ogonem, który jest prawie tak długi jak całe zwierzę. Futro jej nadzwyczaj miękkie i puszyste jak przystoi zwierzętom przebywającym w krajach północnych, jest białe, wpadające w niektórych miejscach w kolor żółtawy lub popielaty i pokryte czarnymi centkami. Żywiono ją w drodze surowym mięsem i mlekiem, gdyż do wody okazywała pewien rodzaj wstrętu. Pierwszy jej pan starał się ją obłaskawić, nie jest zatem zbyt dziką. Z początku z klatki w której przebywała na świeżem powietrzu, przeprowadzano ją na noc do zamkniętego mieszkania, lecz widocznie cierpiała na tem, więc pozostawioną ją tak jak była pierwiej i sypia obecnie jak pies na łańcuchu, w otwartej budzie.



... stanęli u bramy zamkniętej z tej strony miasta. (str. 112).

W tej chwili, jakby na poparcie przestrogi podróżnika, w powietrzu zawarczało kilka bumerangów i maczug.

— No, no, nie narajcie się chłopaki! — zawołał Dugan, chwytając za ramię młodego Hundletona.

Łąka zaroiła się nagle mnóstwem czarnych, strona przeciwna zamierzała zapewne wydać ogólną bitwę pokoleń, wśród których znajdowali się nasi podróżni.

Niebawem wszyscy zaniechali walki na szable i wzięli się do miotania pocisków; zaszumiał prawdziwy grad bumerangów, włóczni, maczug, a nawet kamieni. W obec tej zmiany w taktyce, Jerzy i Abel uznali za stosowne szukać schronienia poza grubym gumowcem.

— Do djabła! — zaklął Tom — czarni niemało krwi sobie upuszczą.

Wszyscy, wysadzając od czasu do czasu głowy z za drzewa, z najwyższą uwagą przypatrywali się temu oryginalnemu i niezwykłemu dla Europejczyków widokowi. I teraz jednak przypuszczenia Toma nie ziściły się. Murzyni z cu-

## GÓRSKIE ZAMCZYSKO

opowiadanie z XIV wieku.

P. ZUZANNĘ MORAWSKĄ.

(Dalszy ciąg).

— Ale pani, w tym wąwozie nie możecie pozostać, gdyby straszemu Siebenhausowi lub któremu z jego żoldaków przyszło na myśl wejść na wieżycę i spojrzeć w wąwóz, spostrzegłby was...

— Tak, tak, masz słuszość Mirku — rzekła Immergunda — musimy się oddalić, ale gdzież się udamy?... nie opuszczaj nas...



— Póki tylko sił moich, strzedz będę ciebie i twego dziecięcia pani, wszak ty matkę moją chociaż brankę wojenną, z obcego narodu, otoczyłaś swoją opieką, a mnie troskliwie na swój dwór przygarnęłaś!

To mówiąc, Mirko zbierał rzeczy naokoło leżące, pomagał wstać z miejsca Immergundzie, która trzymając ciągle dziecię w poranionych o linę dłoniach, chwiała się teraz na

spoglądały na tych biednych wędrowców. A jednak trzeba było jak najprędzej wdrzeć się w te rozpadliny, aby się skryć przed Siebenhausem, który po całej okolicy zarządził poszukiwania.

— Oddaj mi na chwilę dziecię, wdrę się z niem na skałę, a potem wam wejść pomogę.

Immergunda zawahawszy się chwilę, czując się coraz



Pantera śniegowa.

nogach. Przestrach i nadmierne utrudzenie obezwładniło ją prawie, słała wsparta na ramieniu Mirka czując, że siły ją opuszczają...

Dziecię karmione jej piersią nasyciwszy się, zasypiało znowu spokojnie, ale ją samą trapił głód i pragnienie, a spieczona usta coraz to częściej chwytaly powietrze. Tymczasem olbrzymia ściana skały zasłaniała im świat dalszy. Gdzieś niedaleko poszarpane jej boki stały wyprostowane i dumnie

ślabszą przycisnęła dziecię do łona, złożyła spieczonemi ustami pocałunek na jego czole i drżącym zawołała głosem:

— Mirku, Mirku, nie opuszczaj mego syna!

Mirko spojrział tylko na nią, pochwycił poduszkę z dziećciem i trzymając je jedną ręką, z nadzwyczajną zręcznością pocął się wdrapywać między rozpadliny. Immergunda stała chwilę i na poły obłąkanym wzrokiem patrzyła za uchodzącym. Gdy zginął w załomie skały, rozpaczliwie



krzyknęła i z nadludzką siłą poczęła wchodzić za jego śladem.

Pod stopami Mirka osuwały się drobniejsze kamienie, pozostawiając nieco wyżłobione miejsca; Immergundzie zdawało się, iż stąpając po nich, czuje jeszcze oddech swego dziecięcia, które przed chwilą przebywało tę niebezpieczną drogę. W drapywała się więc osłizła ścieżką, czepiając się wystających boków skały, które twardą swoją najeżoną kamieniami powierzchnią, raniły jej dłonie. Za każdym nowym wysiłkiem krew spływała z jej delikatnych palców, oderwane kamienie raniły jej czoło, piasek zasypywał oczy, czasami zsuwała się całym ciężarem ciała i zdawało się, że się zapada w niezgłębioną przepaść, lecz znów uchwyciwszy się jakiegoś odłamku, wchodziła dalej. Pot i krew oblewały jej ciało, lecz zropczona matka nie zwracała na to uwagi, nie czuła bólu; wzrastająca gorączka podniecała jej siły i Immergunda jak zraniona lwica, goniła za uprowadzonym nagle lwiatkiem...

Już, już była na stoku góry, przepaść jaka się rozściełała u stóp jej, zdawała się łatwą do przebycia, bo tam, jeszcze wyżej, u stóp skały, wśród złoto błękitnego światła ujrzała jakiś punkt ciemny a w nim przeczuwała Mirka wraz z jej ukochanym dziecięciem.

— Nie zginął więc, ujrzę go! — zawołała. — Mirko nie zostawi go samego, nie będzie potrzebował po mnie wracać!... pomyślała.

Wyciągnęła dłonie przed siebie, jakby tym ruchem chciała przyciągnąć do siebie syna, straciła równowagę i krzyk nagły wyrwał się z jej piersi...

I kiedy Mirko okryty potem składał śpiącego spokojnie Berehta w rozpadlinach skały, do stóp jego stoczyło się ciało Immergundy.

Krew płynęła ze zranionego jej czoła a na białych licach nie było najmniejszego śladu życia.

Mirkowi dech zamarł w piersiach, przykląkł, szukając oddechu, napróżno! Zadał dłoń i z rozpaczą spoglądał na leżącą Immergundę. Wtem Berecht ozwał się donośnym płaczem, płacz ten ocucił z zadumy Mirka. Wstrząsnął się cały, przetaił oczy zamglone łzami i powolnym krokiem oddalił się od Immergundy, której syn coraz donośniej i niecierpliwym płaczem dowodził siły swych dziecięcych płuc i chęci zaspokojenia trapiącego głodu.

## VIII.

### PO DŁUGIEJ NIEOBECNOŚCI.

Podczas walk i kłótni przy obiorze nowego cesarza, Robert Hofstein niepoślednie zajmował miejsce. Jakkolwiek młody, miał wielką przewagę wśród prowadzących ze sobą kłótnię niemieckich baronów, a dzielne jego ramię i wyćwiczona drużyna znana była tym, którzy mu opór stawiali.

Podczas wielkiego bezkrólewia, trwającego w Niemczech od 1250 do 1273 r., baronowie tak się rozruchwalili, iż każdy na swoją rękę prowadził gospodarstwo rabunkowe, uważał siebie za najlepszego, pomiatał innymi, zabierał ziemię, burzył i niszczył zamki, a pokrzywdzony nie miał gdzie szukać sprawiedliwości. Nie było nikogo, ktoby umiał ująć jednolitą władzę i ogólne rozprężenie do należytego doprowadził porządku.

Bawaryą, jako palatynatem zależnym od cesarstwa niemieckiego, rządzila rodzina Witelzbachów, lecz i oni nie mogli utrzymać porządku, bo pomniejsi baronowie chociaż nie burzyli się i nie powstawali przeciw falzgrafowi, napadali jednak na swoich sąsiadów. Siła wojenna palatyna składała się zwykle z tychże baronów, pfalzgraf zaś, miał często mniejszą, niż niejeden z baronów drużynę, nie mógł więc owym gwałtem zapobiedz. Wprawdzie r. 1273 Rudolfa z Habsburga został jednogłośnie obrany cesarzem i zjednoczył wszystkie ziemie pod swem berłem, ale zaraz po jego śmierci znów rozpoczęły się kłótnie i zjazdy panów dla obioru nowego cesarza.

W chwili naszego opowiadania t. j. w początkach XIV

wieku, wśród bardzo wielu kandydatów, najwybitniejsze zajmował miejsce Fryderyk austriacki Habsburg i Ludwik Witelsbach bawarski.

Stronnictwa były tak liczne a rozdwojenie umysłów tak wielkie, iż obrano Ludwika i Niemcy w 1314 r. ujrzały się pod panowaniem dwóch cesarzów.

Rodzina Hofsteinów oddawna wierną była Witelzbachom, Robert wychowywał się prawie razem z Ludwikiem, na dworze jego ojca Ottona, trzymał więc jego stronę jako towarzysz lat dziecińczych i jako dzielnego a rozumnego księcia, który rządami swemi mógł przynieść spokój rozkołatąnym wśród domowej wojny Niemcom.

Radość więc zabłysła w oczach Roberta, gdy po długich utarczkach Ludwik otrzymał koronę. Radość ta jednak była tylko połowiczna, bo chociaż przeprowadził kandydaturę Ludwika, nie mógł jeszcze wracać do swego cichego zamku w górach, do swej ukochanej Immergundy i maleńkiego Berehta. Serce jego ścisnęło się straszną tęsknotą, nie odstępował jednak Ludwika, bo ten musiał walczyć z współczesnie obranym Fryderykiem austriackim, aby całe państwo pod swoim berłem zjednoczyć. Bawaryą była głównym teatrem wojny; walka przewłóczyła się z roku na rok! Robert nie mógł powracać, słał więc posłów do swego zamku, lecz jedni nie wracali zaskoczeni wśród drogi przez strony walczące, inni wracali z połowy drogi, a nie mogąc dotrzeć do zamku, głuche tylko tu i owdzie pozbierane przynosili wieści.

Co się działo w sercu Roberta ten tylko zrozumie, kto długą nekany tęsknotą za najbliższymi, spełniał jednak obowiązek, który nań włożył kraj powierzając mu swą całość i bezpieczeństwo.

Mimo więc tęsknoty jaka szarpała jego serce, nie odstępował Ludwika, walcząc zarazem za kraj swój rodzinny, Bawaryą, do której z dwóch stron wkroczyły wojska Fryderyka austriackiego.

Rozpacz ogarniała Roberta, bo wojska przeciwnika były daleko liczniejsze, walczył więc ze zdwojoną siłą i odwagą, dopomagał bowiem przyjacielowi, a z każdym zwycięstwem zbliżał się do tych, których byłby rad w jednej chwili do swej piersi przycisnąć.

Dni pośród walki biegły szybko, lecz ani szczęk broni, ani odgłos surmy wojennej, ani hulanki obozowe, nie mogły zagłuszyć tęsknoty Roberta. Spełniał jednak obowiązek wodza, a wśród najrozmaitszych wypadków upłynął długi szereg lat, lat dziesięć!

Dopiero po bitwie pod Mühlendorf, t. j. r. 1322, kiedy Fryderyk dostał się do niewoli a Witelzbach, pod imieniem Ludwika IV, objął rządy nad całemi Niemcami, Robert mógł powrócić do swego zamku.

Lato miało się właśnie ku schyłkowi i resztką swych promieni złoćdo spustoszoną przez wojnę okolicę, gdy Robert z garstką sobie wiernych, wracał do rodzinnego Hofsteinu. Po drodze pragnął zasięgnąć wieści, ale w ziemiach wyludnionych długą walką, nie spotykał rycerstwa, lud zaś prosty zajęty swą pracą codzienną, nie ciekaw był, co się działo w barońskich zamkach. Owszem, stronił nawet od nich, bo z tych dumnych siedzib spadały tylko klęski na spokojnych i pracowitych mieszkańców.

Nikt mu więc nie umiał powiedzieć, co się działo z żoną i synem podczas długiej jego nieobecności. Na dwa dni drogi od swego zamku, wysłał wiernego sobie giermka, Maulta, lecz ten ujrzał tylko ruiny wspaniałej niegdyś siedziby Hofsteinów, nie miał więc komu złożyć powitania ani zwiastować radosnej wieści, jaką przynosił.

A Robert im więcej zbliżał się do swego zamku, tem smutniejsze ogarniały go przeczucia, spustoszona zaś i wyludniona okolica uzasadniała jeszcze jego smutek. Hufiec jego, jakkolwiek teraz nie wielki, potrzebował niemało czasu na przedarcie się przez górzyste, pełne kamieni drogi; zdał więc dowództwo na jednego ze swoich dziesiętników a sam z jednym tylko pachołkiem, podążył wązką wśród gór dróżyną.

Znane mu były te drogi, każdy kamień, każda skała stercząca nad wąwozem, to towarzysze jego lat dziecięcych...



lecz gdzie się podział zamek, gdzie Hofstein, który tak dumnie wznosił się na wierzchołku góry...

— Czyżbym mylną wziął drogę i nieznaną sobie stronę witał jako drogę wiodącą do rodzinnego zaniku! — myślał hrabia z bijącym z niepokoju sercem.

(d. c. n.)

## CUDOWNA WYSPA

Najnowsza powieść Juliusza Verne'a

przekład M. D.

(Ciąg dalszy).

Mówiąc jednak o wszystkim pomija starannie kwestyę, która mogła najwięcej zainteresować nasz Kwartet. Licznie jednak wychylane kieliszki zaczynają działać powoli, wesołość staje się ogólną. Czyżby Amerykanin miał zamiar spoić swych gości i spowodować tem samem spóźnienie się na pociąg do San-Diego?... Lecz któżby mógł posądzić go o to... zresztą, oto zapijają już wyborną kawę i likiery — wkrótce więc wstaną od biesiadnego stołu. — Nagle huk wystrzału armatniego zatrząsł szybami domu.

— Co to jest! — pyta Yvernes zrywając się z siedzenia.

— Proszę, bądźcie spokojni panowie — upewnia Kalikstus Munbar — był to tylko wystrzał armatni dany z murów obserwatorium naszego...

— Jeżeli wystrzał ten miał oznajmiać południe — robi uwagę Francolin, spoglądając na swój zegarek — to zdaje mi się, że się znacznie opóźnia.

— O nie, panie! zaręczam, że słońce tutaj nie spóźnia się tak samo, jak gdziekolwiek na świecie — zapewniał tonem spokojnym gospodarz. Równocześnie jednak na oczach jego z poza binokli, zabłysły dziwne płomyki, i zatarł ręce, jakby z zadowolenia, że splatał komuś znakomitego figla.

Francolin mniej odurzony winem od swoich przyjaciół, nieufnym patrzył na Yankesa okiem, nie wiedząc dokładnie co o nim sądzić.

— A teraz przyjaciele, sądzę, że mi panowie pozwolicie na tę sympatyczną nazwę — odezwał się Kalikstus tonem nadzwyczaj uprzejmym — teraz może nam już czas zwiedzić drugą dzielnicę naszego miasta, bo nad wyraz przykreim byłoby mi przecie, gdybyście choć jeden pominieli szczegół; nie mamy więc czasu do stracenia...

— O którejże to godzinie odchodzi pociąg do San-Diego? — wypytuje Sebastian niespokojnie, zajęty bezprze-stannie myślą, aby tylko nie spóźnić się, i nie pominąć tem samem zapowiedzanego koncertu.

— A tak, tak! o której godzinie? — powtarza z naleganiem Francolin.

— Oh, wieczorem dopiero — odpowiada Kalikstus, mrużąc dziwnie lewem okiem. — Lecz chodźcie, proszę drodzy mi goście, pewny jestem, że nie pożałujecie udzielonego mi uprzejmie zaszczytu pozostania do końca waszym cicerone.

Jakże tu nie posłuchać osoby tak uprzedzająco grzecznej? To też kwartet opuszcza jadalną salę hotelu Excelsior i wychodzi na ulicę; doprawdy jednak, musieli rzeczywiście przebrać trochę miarę w picciu, bo oto zdaje się wszystkim, że ziemia lekko drży pod ich stopami, chociaż nie stanęli dotąd na jednym z tych ruchomych chodników, posuwających się naprzód.

— Ho! ho! podpierajmy się wzajemnie! — woła „Jego Excelencya”, potykając się nieco.

— Zdaje mi się, żeśmy trochę za dużo pili — zauważył Yvernes, ocierając czoło.

— A choćby i tak było, mili Paryżanie, toż raz może być dozwolonym wyjątek z ogólnie praktykowanej reguły. Należało przecie uczcić przybycie wasze do nas.

— My też wysuszyliśmy pułkary doszczętnie — odpowiada Ponchard, który czuje się wyjątkowo przyjemnie usposobionym.

Pod przewodnictwem Kalikstusa Munbara przechodzą wszyscy ulicę, która ich prowadzi do drugiej dzielnicy, gdzie ruch i ożywienie całkiem odmienny przedstawia widok. Można by uleść złudzeniu, że nagle przeniesionym się zostało z północnych do południowych Stanów Zjednoczonych, z miasta Chicago do Nowego Orleanu, z Illinois do Luizjany. Magazyny są tu bogaciej zaopatrzone, pałace i hotele wybrudniejszego stylu i gustowniej ozdobione, nawet ludność tchnie jakimś większem ożywieniem, objawiającem się w ruchach, chodzie i sposobie mówienia. Słowem przeważa tu temperament całkiem od tamtej dzielnicy odmienny, zdawałoby się mogło, że są to właściwie dwa miasta, dziwnym wypadkiem przeciwstawione sobie.

Pod tem wrażeniem kwartet doszedł do piętnastej alei, stanowiącej środkowy punkt tego oddziału, gdy Yvernes zawołał pełen zachwytu:

— Jakiż to wspaniały pałac!...

— Jest to własność rodziny Cowerley — odpowiada Kalikstus; Nat Cowerley równy Tankerdonowi.

— Majątkowo naturalnie? — pyta skrzypek.

— Oczywiście, że względnie do posiadanych kapitałów Cowerley, jako ex bankier z Nowego Orleanu, posiada więcej milionów, niż paley u obu rąk...

— A, to śliczna para rękawiczek, niema co mówić; — zawołał wesoło Paryżanin.

— Bezwątpienia!

— I te dwie potęgi: Jan Tankerdon i Nat Cowerley są nieprzyjaciółmi?...

— Dotychczas rywalami tylko, starającymi się utrwalić swą wyższość w stosunach miejskich.

— A więc już zazdrość... to może skończy się wreszcie na pożarciu się wzajemnem...

— Ha, być może, że kiedyś jeden pochłonie drugiego...

— Winszuję niestrawności!... — zawołał Jego Excelencya, a całe towarzystwo zaśmiało się wesoło z tego dowcipu.

Ale otóż i kościół katolicki, który się wznosi na dość obszernym placu, aby można podziwiać piękną budowę z należytego oddalenia. Jest to wspaniały gotyk, którego wieżycie śmiało strzelają ku niebu; lekkie, w marmurze rzeźbione ozdoby, spiczaste łuki barwnych okien, i ta harmonia linii jaką odczuwają nasi artyści, przedstawia im kościół „Panny Maryi” jeden z najpiękniejszych, jakie kiedykolwiek widzieli.

— Przepiękny gotyk w stylu anglo-saskim! — zawołał Yvernes, wielki lubownik sztuki architektonicznej. — Miałeś słusność panie Munbar, że dwie części waszego miasta, tak mało są do siebie podobne, jak wielką jest różnica między pięknem dwóch tych świątyń.

— A jednak obie te dzielnice od jednej pochodzą matki.

— Ale nie jednego zapewne miały ojca — wtrąca Ponchard.

— Owszem, i jednego mają one ojca, mili przyjaciele, różni ich tylko odmienne wychowanie, zastosowane do wymagań tych, którzy tu szukają życia spokojnego, wolnego od wszelkich trosk i codziennych kłopotów. Jednem słowem życia, jakiego nie może dać żadne miasto stałego ładu, czy to Starego czy Nowego świata.

— Na Appolina, panie Munbar — zawołał Yvernes — ostrożnie, byś zanadto nie podrażnił naszej ciekawości!... Mowa pana sprawia wrażenie owych niedokończonych zdań w muzyce, o których długo się marzy pragnąc usłyszeć ostatnią nutę...



— Aż wreszcie, odczuwa się zmęczenie nad wszelki wyraz — dokończył Sebastyan Vaillant. Spodziewam się też, żeś pan uznał już za stosowne, powiedzieć nam nazwisko tego osobliwego miasta...

— Wybaczcie, drodzy mi goście, lecz nie teraz jeszcze — odpowiedział uprzejmym tonem, tajemniczy Amerykanin, osadzając mocniej na nosie złote swe binokle. — Poczekajcie cierpliwie końca naszej przechadzki...

— Zanim jednak pójdziemy dalej — przerywa Francolin, który mimowoli czuje pewien niepokój łączący się z uczuciem ogólnego zaciekawienia — chciałbym przedstawić jeden projekt...

— Cóż takiego mianowicie? — pyta Amerykanin.

— Abyśmy weszli na wieżę tego kościoła, skąd moglibyśmy widzieć...

— O nie, stanowczo nie! — woła Kalikstus Munbar, wstrząsając swą potężną głową, zdobną w sute kędziory — później, jeszcze trochę później!...

— Ale kiedyż wreszcie? — wtrąca z niecierpliwością wionoczelista, którego najwięcej drażni owa tajemniczość Yankesa.

— Przy końcu naszej wycieczki, panie Vaillant.

— Więc powrócimy jeszcze do tego kościoła?

— Byłoby to trudem bezcelowym i zbytecznym, wracając bowiem, wstąpimy do naszego obserwatorium, którego wieża jest o trzecią część wyższą od tej, jaką mamy przed sobą.

— Dla czego jednak nie korzystać ze sposobności jaka się nam w obecnej chwili przedstawia — odzywa się z naleganym Francolin.

— Bo straciłbym dużo na wrażeniu jakiegoś panowie doznacie, a na które cieszę się prawdziwie.

Niema rady! Trzeba się poddać woli tego dziwnego człowieka, który zawsze tylko zręczne i wymijające daje odpowiedzi, na jakiegokolwiek w tym kierunku pytania naszego kwartetu. Idą więc dalej zwiedzając najwspanialsze ulice drugiego oddziału, poczem przechodzą do części kupieckiej, zamieszkałej przez krawców, szewców, kapeluszników, rzeźników, kupców korzennych, piekarzy, owocarzy i t. p. Kalikstus Munbar jest przez wszystkich witany uprzejmym ukłonem, który oddaje z widocznym zadowoleniem miłości własnej. Z równym też zapałem jak poprzednio, objaśnia i tu wszystkie spotykane osobliwości; język jego od rana jest w tak bezustannym ruchu, jak owe dzwony kościelne, które w dzień świąteczny wzywają wiernych na modlitwę.

Było już około godziny drugiej po południu, gdy wreszcie turyści nasi stanęli u żelaznej bramy, zamykającej z tej strony miasto, a zdobnej w piękne festony z pnących roślin. Za bramą rozkładają się pola i ogrody, których ostateczne granice łączą się z linią horyzontalną sklepienia niebios. W miejscu tem Francolin czyni sobie pewną uwagę, nad którą zastanawiał się dłużej, nie mając jednak ochoty podzielić się nią z towarzyszami; wszystko to przecie musi się wyjaśnić, gdy staną na wieży obserwatorium. Dziwnem jednak wydaje mu się bardzo, że słońce, które o tej godzinie powinno się znajdować w stronie południowo-zachodniej, widocznem jest obecnie jakby na południo-wschodzie. Gdy badawczy i bystry umysł „drugiego skrzyпка” stawia sobie tę kwestyę, nie-

możliwą jeszcze do rozwiązania, Kalikstus Munbar przerywa tok jego myśli, wołając:

— Panowie! Pociąg odchodzi za parę minut w stronę portu, trzeba nam trochę kroku przyspieszyć!

— W stronę portu? — pyta zdziwiony Sebastyan Vaillant.

— Oh, nie zabierze nam to zbyt wiele czasu, mała milka angielska do przebycia, a spacer ten, da wam równocześnie sposobność poznania naszego parku, który też godnym jest widzenia.

— Port o którym mówi yankes znajdować się musi w południowej lub północnej stronie miasta, wzdłuż wybrzeża Dolnej Kalifornii... — myśli Francolin.

Tymczasem przybywszy do stacyi tramwajowej siadają wszyscy do eleganckiego wagonu, w którym już zastają kilku pasażerów witających pana Munbara uprzejmem uściśnieniem ręki.

— Do licha! Ten człowiek zdaje się tu być znany wszystkim! — myśli, kwaśno usposobiony Sebastyan, podczas gdy wprawiono już w ruch koła wagonów, które z szaloną szybkością toczą się naprzód.

Kalikstus Munbar miał słuszną nazwę parkiem obszar ziemi, który przejeżdżają. Ciągają się tu aleje długie, jak oko zasięgnie, wśród lasków drzew i łąk przypominających równością swą najpiękniejsze trawniki; tu i owdzie barwne klomby kwiatowe widnieją wśród zieleni krzewów, lub znowu wzorzysto rozkładają się partery, pośród których szmery, w górę bijąca fontanna.

Na wspaniałą tę florę, wabiącą oko, składają się rośliny Starego i Nowego Świata: wdzięczne modrzewia, dęby i kasztany, buki, jesiony, cedry i klony rosną, zda się w przyjaźni obok drzew pomarańczowych, cytrynowych i oliwnych, w sąsiedztwie palm, bananów, eukaliptusów, mimozy, drzew daktylowych i figowych, a w wśród ich liścia i cieniu świegoce gwary i ruchliwy świat ptactwa stref południowych. Oko amatora nacieszyć się tu może wspaniałym widokiem olbrzymich geranii z Monte-Carlo, białych i różowych lotusów Egiptu, pasiflor południowej Ameryki, hortensyi, irysów, begonii, tulipanów, krokusów, narcyzów i anemonów; piękne bukiety tworzą kwitnące najrozmaitszego gatunku i koloru róże, świetne drzewa kameliowe i sztywne aloesy obok lekkich liści paproci, słowem spotka tu wszystko czego zażądać może od najbogatszych ogrodów botanicznych.

Yvernes ze swym upodobaniem do starożytnej poezyi sielankowej, doznaje złudzenia, że przeniesionym został w owe uroczysko strony opisywane w pasterskich romansach; bo i tu nie brak pasących się spokojnie na szmaragdowych łąkach białych owieczek i krów łaciatych, ani nawet łaskawych jeleni i wdzięcznych sarenek, biegających swobodnie wśród oparkianych lasków. Nawet niezbędna w tych krajobrazach rzekę przedstawia tutaj „Serpentineriver”, tocząca swe przezroczyste wody pomiędzy lekkimi wzgórzami łąk i ogrodów. Jedyne mógłby żałować nieobecności pięknych pasterek i rycerskich pasterzy, bo tych nie dojrzy tu nigdzie. Nie może się też oprzeć wrażeniu, że wszystko to jest jakoś zbyt piękne nazbyt w porządku, jakby sztucznie utworzone.

(d. c. n.)

#### PRENUMERATA WYNOŚI:

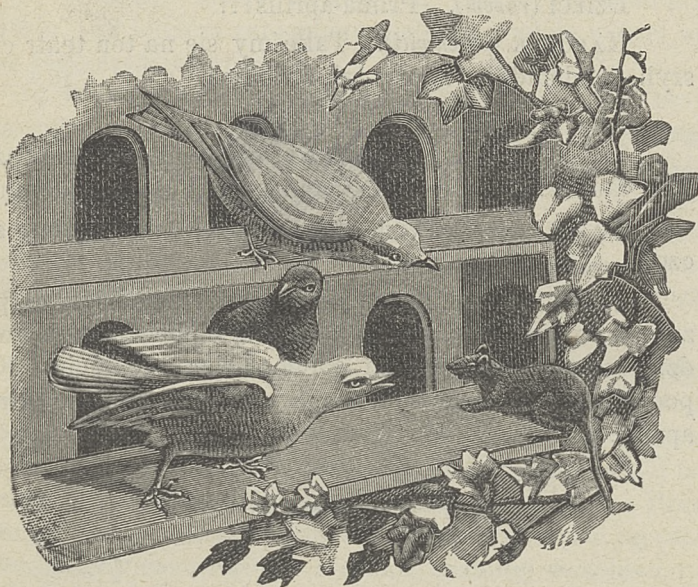
W WARSZAWIE rs. 4, na prowincyi w kraju i zagranicą rs. 5 — stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna.

ADRES REDAKCYI, ULICA **Mazowiecka Nr. 10** NOWY.

**TREŚĆ:** Przez zagony porane, wiersz p. Z. Morawską. — Przymnażanie kwiatków p. E. Jankowskiego. — W pustyniach Australii p. Władysława Umińskiego. — Pantera śniegowa (z drzew) — Górskie zamczysko, opowiadanie z XIV wieku p. Zuzannę Morawską (z drzew.) (Cudowna wyspa, najnowsza powieść Juliusza Verne'a, przekład M. D. — Dodatek: Szczur i gołębie, wiersz (z drzew.) — Prima-aprilis Jasia, komedyjka w jednym akcie p. Nagodę. — Opowiadanie starszej siostry, z angielskiego M-sa Molesworth. — Łamigłówni i rozwiązania. — Dodatek książkowy: Dla szczęścia rodziny. Przekład Maryi B.



# WIECZORY RODZINNE.



SZCZUR I GOŁĘBIE.

Było cicho i spokojnie w gołębniku, domku małym,  
Zgoda, jedność panowały w licznym, barwnym stadku  
[całem,  
Głosy miękie, pieszczotliwe czułych dla rodziny matek,  
Lub radości miłe dźwięki w ciepłym gniazdku małych  
[dziatek,  
Oto całe znaki życia. Gdy okaże się potrzeba —  
Po żer lecą ptaki żwawo — bo i gołąb łaknie chleba,  
Nie pogardzi on pszeniczką, smacznie dziobie jęczmień,  
[grochy,  
Lecz starannie wnet otrząsa z lśniących piórek ziemi  
[prochy;  
Jak krynicy modra woda, oczy jego przezroczyście,  
I jak złota blask nadobny, tak serduszko jego czyste;  
Nigdy krzywdy on nikomu nie uczyni za nic w świecie,  
Bo i żółci nie ma gołąb, toż wiadomo wszystkim przecie,  
Więc też ptaszę dobre, miłe, dotąd nigdy nie myślało  
By mu ze złej woli czyjej, złe jakoweś stać się miało...  
Aż tu nagle, o boleści! — gdy wróciły raz do domu,  
Ktoś im krzywdy zrobił tyle, tak znieńca, pokryjomu!  
Kilku małych braknie w gniazdach, i jajeczka potłuczone...  
Aż zadrżały, bólem zdjęte, biedne ptaki potrwożone.  
Toż dopiero smutna dola! ten okrutnik wrócić musi,  
Któż ich bronić wtenczas będzie, kto w nieszczęściu  
[dopomoże?!  
Bystre jednak, czule ptaszę wcześniej samo zrozumiało,  
Że mu bronić swego gniazda dziś samemu wypadało,  
Więc odważnie, gdy szczur szkodnik na gołębnik się znów  
[skrada,  
Przeciw niemu wylatuje najsilniejsza z nich gromada,  
Chociaż słabe i nie mają silnych szponów na obronę

Szczur napastnik [wnet nie wiedział w którą ma umykać  
[stronę,  
Rycerskiego ducha wprawdzie niema u nich odrobiny  
Lecz odwagę ma i gołąb, by obronić swe dziecińcy.

M. D.

## Prima-aprilis Jasia.

Komedyjka w 1 akcie

przez **NAGODE**.

(Dokończenie).

**JAŚ** (*obrażony*). Cóż to, ty jesteś nasz profesor, czy co takiego, żeby nas pytać?

**STAŚ**. Nie jestem waszym profesorem, ale tak mama kazala — mnie nic do tego; może wolicie i nie wydać lekcyi i nie iść do teatru?

**AŃDZIA**. Ale nie, cóż znowu.

**STAŚ**. No, to nie marudźcie, bo czasu szkoda. Co macie na jutro?

**AŃDZIA**. Ja mam z polskiego wiersze, z geografii dopływy Wisły, na trzeciej godzinie roboty...

**STAŚ** (*poważnie*). Roboty do mnie nie należą; powiedz mi wiersze.

**AŃDZIA** (*staje wyprostowana i deklamuje*).

Oj, wesołaż ja dziewczyna,  
Wszystko mi się śmieje,  
Dla mnie kwieci się dolina,  
Dla mnie wietrzyk wieje.  
Dla mnie świecą ranne zorze  
I wieczorne gwiazdki,  
Dla mnie dałeś wszystko, Boże,  
Na piosnki, powiastki...

**STAŚ**. I cóż dalej?

**AŃDZIA**. Dalej nic; my tyle mamy zadanego.

**JAŚ**. Otóż to dziewczęta! to im dopiero zadają. Ja mam z łacińskich wierszy dwa razy tyle. (*Pogardliwie wskazując Ańdzię*). I temu się jeszcze zdaje, że to się bardzo uczy.

**AŃDZIA** (*obrażona*). Jasiu, bardzo proszę! ja nie jestem żadne „to”.

**KAROLEK** (*śmiejąc się*). Niech się panna Anna nie obraża, rodzaj nijaki nadaje się nieraz bardzo miłym stworzeniom (*pieszczotliwie*) to cielątko, to prosiątko! (*Dzieci śmieją się*).

**JAŚ**. Naturalnie, to bardzo ładna forma gramatyczna.



STAŚ. Aha, kiedy mowa o gramatyce, to powiedzcież mi, proszę, jak się powinno mówić: pięć a sześć *jest* trzynaście — czy: pięć a sześć *są* trzynaście?

AŃDZIA. Jest, jest! skądżeby tu się „są” wzięło.

KAROLEK (*z namysłem*). I mnie się tak zdaje, to przecież samo brzmienie wskazuje: (*Mówi powoli i dobitnie*) pięć a sześć *jest* trzynaście.

STAŚ (*śmiejąc się*). Otóż, mylicie się bardzo, bo pięć a sześć *jest jedenaście*, a nie *trzynaście*; z rachunków macie wszyscy dwójkę.

DZIECI (*śmiejąc się*). A tak, to nie wolno tak łapać! myśmy myśleli tylko o gramatyce.

STAŚ. No, teraz Ańdziu, dopływy Wisły: tylko prędko bo szkoda czasu.

AŃDZIA (*zaczyna recytować z wielkim pośpiechem*). Biała, Skawa, Raba, Dunaj, Poprad...

STAŚ. Dunaj? o, tem nie wiedziałem! Jakto zawcze można coś skorzystać! nie byłbym się nigdy sam domyślił, że Dunaj wpada do Wisły.

AŃDZIA. W mojej geografii jest najwyraźniej: Dunaj, o, przeczytaj sobie, (*pokazuje mu w książce, a przeczytawszy sama, spostrzeżu swój błąd*). Ach, przepraszam, to Dunajec, a nie Dunaj, pomyliłam się, ale to mała rzecz.

JAŚ. Naturalnie, to drobnostka! raptem dwie litery, nie warto z niemi robić ceremonii.

STAŚ (*żartobliwie*). Widzę, że Ańdzia umie geografję, jak *mało kto*, więc dajmy jej już pokój, teraz niech się panowie bracia popiszą.

KAROLEK. Aha, ja mam na jutro łącinę, ciekawym jak mnie będziesz pytał, ty realisto.

STAŚ. Jak? zaraz zobaczysz, przetłomacz mi poprostu na polskie, te dwa słowa: (*mówi pompatycznie, kładąc akcent na pierwsze sylaby*) Spitulis nostre! (*Chwila milczenia*). No i cóż? co to znaczy?

KAROLEK (*jąkając się*). To... to znaczy... „nostre” to niby nasze, a „spitulis” to... ja się jeszcze tego nie uczylem.

STAŚ. Aha, a „spi tu lis” może zrozumiesz? A „nostre” to może także nie takie trudne? to nawet bardzo łatwo zrobić, o! (*zaczyna trzeć koniec nosa*).

DZIECI (*wybuchając śmiechem*). Ha, ha, ha, to taka łącina? brawo! tego się uczyć nie potrzeba.

STAŚ (*śmiejąc się*). A widzicie, ja wszystko umiem. Ale ty Jasiu, jeszcze nam nic nie powiedziałeś, co masz na jutro?

JAŚ (*niepewnym głosem*). Zadanie niemieckie.

STAŚ. Pokaż je.

JAŚ. Kiedy...

STAŚ. Jakto: kiedy? teraz, zaraz.

JAŚ. Kiedy bo... jeszcze nie napisane.

STAŚ (*udając wielką powagę*). A to bardzo źle! w takim razie...

JAŚ (*blagalnie*). Mój Stasieczku, tylko nie mów nic cioci, ja jeszcze napiszę wróciwszy z teatru, wieczor taki długi, napiszę tak ślicznie, że dostanę „bardzo dobrze”.

STAŚ. Ha, chyba tak...

JAŚ. Słowo ci daję!

STAŚ. No, prawdę powiedziawszy, wszyscy niebardzo umiecie, ale zważywszy, że macie przed sobą całe wolne popołudnie...

AŃDZIA. Jakto; wolne popołudnie? a teatr?

STAŚ (*śmiejąc się*). A teatr — to był tylko (*z ukłonem*) prima-aprilis.

DZIECI (*razem*). Prima-aprilis!!!

KAROLEK (*po chwili*). Takeśmy się na ten teatr cieszyli, to nieładnie, że nas tak zwiodłeś.

JAŚ. To nawet bardzo brzydko.

STAŚ. A to ładnie było wysyłać mnie na kolej, że bym tam zziąbł na dworcu, zamiast jeść obiad w domu?

KAROLEK. Prawda, masz rację, że to myśmy zaczęli.

STAŚ. Idąc tu, ani myślałem was zwodzić, ale poznawszy po waszych minach, że mnie chcecie wyprowadzić w pole, pomyślałem sobie: Aha, czekajcie: Kto pod kim dołki kopie, sam w nie wpada! i ot, macie prima aprilis.

---

## OPOWIADANIE STARSZEJ SIOSTRY.

z angielskiego

M-SS MOLESWORTH.

(Dalszy ciąg).

— Zosiu — zawołał Tomcio — zróbmy sobie grzankę; niema nic wyborniejszego, jak grzanki z wiśniami!

— Kiedy skibki chleba są grubo krajane i już posmarowane.

— Co to szkodzi, grzanki z masłem jeszcze lepsze.

— Nad niczem się nie zastanawiasz, wszak masło stopi się nad ogniem.

— To masło zeszkrobmy, rozsmarujemy je znowu jak chleb się przyrumieni.

Pomysł doskonały. Przezorna pani Gertruda nie dopuszczała noży na nasz stół. Zastąpiły je łyżeczki przy zeszkrobowaniu masła, ale nie mieliśmy także widelca do robienia grzanek, potrzeba jednak bywa matką wynalazków. Za pomocą przewleczonego przez chleb sznurka, uwiesiliśmy takowy u pogrzebacza i w ten sposób trzymali nad żarzącymi węglami.

Dwie grzanki udały się znakomicie, trzecia spaliła się zupełnie. Niezrażeni tem, powtarzaliśmy czynność naszą, póki nam zapasów starczyło, następnie rozsmarowaliśmy masło i rozczzerwieni, z zatłuszczonymi fartuszkami, zgłodniali, pochłanialiśmy zimną herbatę i gorące grzanki, które pokryte grubą warstwą konfitur były znakomite.

Gdy już tylko dwie pozostały, należało równo je rozdzielić, ale jak się wziąć do tego? Tomcio proponował, byśmy oboje wzięli po jednej i połowę naszych części oddali Józiewi.



— Gdzież tam — zawołałam — w taki sposób Józiowi cała dostałaby się grzanka. Trzeba każdą grzankę na trzy równe kawałki rozkrajac i każde z nas weźmie po dwa takie kawałki.

— Jakże ją pokrajać kiedy niema noża — rzekł Tomcio.

— Niech każde po kolei ugryzie — zaproponował Józio i za jednym zamachem połknął o wiele więcej niż na jego część przypadało.

Wybuchnęliśmy serdecznym śmiechem. Józio przyłączył się do nas i rozochoceni śmieliśmy się tak długo i głośno, że nie dosłyszeliśmy stukania na schodach, któreby nas strachem przejęło.

Pani Gertruda weszła. Rozśmieszeni, nie byliśmy wstanie się uciszyć, a do tego jakżeśmy wyglądali? Fartuszki pogniecione i brudne, włosy w nieładzie, policzki rozczzerwienione, twarze i ręce usmolone!

Ekran z przed kominka leżał wywrócony na środku pokoju. Tomcio miał jeszcze w ręku pogrzebacz, z wiszącą u niego ostatnią grzanką. W całym pokoju czuć było silny zapach spalenizny, który doszedłszy na dół natuszył pani Gertrudzie obawę jakiegoś wypadku. Przybiegła na nasz ratunek; można sobie wyobrazić jej oburzenie, gdy nas zastała w napadzie szalonej wesołości.

— Ach! nieznośne, niegodziwe dzieciaki! — zawołała. — Jak możecie tak sobie poczynac! Przysłałam wam konfitur, cały dom jest na nogach, żeby was obsłużyć!

Tomcio był najbliżej, podeszła ku niemu mówiąc:

— Proszę zaraz isc do stryja, on potrafi cię naklonić do wyznania, co wam ta szkaradna siostra w głowę nakładła; to jej dzieło, pewną jestem.

Tomcio uciekł na drugi koniec pokoju, a gdy mu się wydało, że dostateczna odległość dzieli go od nieprzyjaciela, zawołał z oburzeniem:

— Czemu pani powiada, że Zosia jest szkaradną, ona nic nie zrobiła, to mnie przyszła ochota robienia grzanek.

— Jesteś mały zuchwalec! — odpowiedziała i nie dodawszy słowa, wyszła z pokoju.

— Oh! co ona robi? — szeptał Tomcio pełen trwogi.

— Zapewne pójdzie opowiedziec wszystko stryjowi — odrzekłam spokojnie.

— Nie boisz się Zosiu? — pytał Tomcio sam bardzo przerażony.

— Przeciwnie — odparłam — rada z tego jestem. Nie robiliśmy nic złego i wprost to stryjowi powiem.

— Nuż ona wmówi w stryja, że byliśmy niegrzeczni — dowodził Tomcio blizki łez. — Stryj gotów o tem doniesć rodzicom, a my im przyrzekliśmy dobrze się sprawowac.

— Dziś po południu źle postępowaliśmy jedynie wtedy, gdyśmy się z sobą sprzeczali — odpowiedziałam. — Napiszę rodzicom całą prawdę, a oni mi uwierzą.

Zaledwie mówić przestałam, dał się słyszeć na schodach chód śmiały i pewny. Był to stryj Franciszek.

— Co się to ma znaczyć, dzieci? — zagadnął nas wchodząc — nie pojmuję, jak możecie być tak niesforni, zwłaszcza ty Zosiu, która jako najstarsza, powinnaś dawac braciom dobry przyklad. Pokażcie mi spalony przez was dywan, o którym mi wspominała pani Gertruda.

Uklęklam przed kominkiem, aby odszukać maleńką dziurkę wypaloną przez iskrę wypadłą z kominka.

— Oto jest — rzekłam, wskazując skazę wielkości grochu.

Stryj przypatrzył się jej uważnie. Twarz jego inny przybrała wyraz.

— Skąd więc może pochodzić ten swąd?

— To grzanka wpadła nam w ogień — odezwał się Józio.

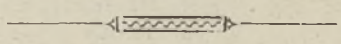
— Tak było trudno robic grzanki! — dodał Tomcio i dla dokładniejszego objaśnienia pokazał pogrzebacz z wiszącym nań dodatkiem.

Tym razem stryj szczerze się roześmiał; byłoby się zapewne wszystko jak najlepiej skończyło, gdyby na tę chwilę nie nadeszła pani Gertruda z rozognioną od gniewu twarzą i zaciętymi ustami.

— Przesadzałaś moja dobra Gertrudo, wszystko to mało znaczące usterki, wspomnienia nie warte.

— Nic dziwnego proszę pana, zem się przeraziła — odpowiedziała sucho stara kobieta. — Być może, że dywan bardzo nie ucierpiał, ale niech pan tylko pomyśli, jakie nam grozi nieszczęście, jeżeli będzie wolno dzieciom ogniem się bawic. Zresztą wyrządzona szkoda nie jest główną przyczyną zaniesionej przezemnie skargi. Nie może pan sobie wyobrazić jak te dzieci są względem mnie harde i niegrzeczne. Dobrze zauważyłam od pierwszej zaraz chwili, że panna Zosia postanowiła na każdym kroku na przekór mi wszystko robic, braci też przeciw mnie podburza. W moim wieku nic podobnego nie ścierpię.

(d. c. n.)



S Z A R A D A.  
przez E. M.

Imię kobiety w *pierwszem* i *trzecim* niedługie;  
Wskazuje zwykle rzeczy i osoby *drugie*;  
*Czwartem* zwą ciebie. *Razem* jest w łacińskiej mowie  
Wyraz, co się tłumaczy: rodziny przodkowie.

ŁAMIGŁÓWKA KROPKOWANA.

Wańdzia z Warty dla Helci D.

\* . . . . . \*  
\* . . . . . \*  
\* . . . . . \*  
\* . . . . . \*  
\* . . . . . \*

Zapełnic kropki literami wyrazów 6 zgłoskowych, którychby litery oznaczone gwiazdkami utworzyły nazwisko słynnego, współczesnego powieściopisarza. Znaczenie wyrazów: 1) Nazwa dnia w tygodniu. 2) Ptak z rodzaju wróblowatych, pospolity u nas. 3) Królestwo na półwyspie bałkańskim. 4) Skala jednolita, krystaliczna. 5) Półwysep na północo-zachodnim wybrzeżu Ameryki. 6) Owoc naszych ogrodów. 7) Rzeka w Rosyi wpadająca



do zatoki Kurońskiej. 8) Symbol pracowitości. 9) Ozdoba naszych mieszkań i ogrodów. 10) Zbiorowiska wielkich wód na kuli ziemskiej. 11) Matka wszelkiej roślinności.

### KWADRAT MAGICZNY.

ułożył Juliusz W.

f a a Miara wagi.  
d d p Rzeka, wypływa z gór Uralskich.  
r u u Dowód pamięci.

Powyższe zadanie nazwano kwadratem magicznym dla tego, że podane litery powinny być tak ułożone aby w kierunku poziomym jak pionowym te same wyrazy odczytać można.

### ROZWIĄZANIA DO N-ru. 12-go.

Szarady: O — ku — la — ry.

### Łamigłówki sylabowej:

KIjów. 2) Agram. 3) Mnożenie. 4) Rapsodya. 5) Oczeret. 6) Mysz. 7) Akacya. 8) Ararat. 9) Kalchas. 10) Estonia. 11) Missisipi. 12) Ocet. 13) Oka. 14) Migdał.

Ignacy Krasicki.

### Kwadratu magicznego:

S e r  
e r a  
r a k

### Skrzynka do listów.

Zdzisiowi D. prześlemy żądane numera, gdy odbierzemy dokładny jego adres, którego w liście niema. Czy Z. D. dopytuje się o dodatki książkowe z lat dawniejszych? Cena pojedynczego numeru pisma wynosi kop. 10.

Z przyjemnością powitaliśmy liścik *Niezapominajki* z nad Kłazmy i w dalekie strony przesyłamy wam serdeczne pozdrowienia, oraz żadaną odpowiedź. *Placer* jest to miejsce, gdzie wydobywa się z piasku, leżącego na powierzchni ziemi złoto rodzime, w postaci blaszek i drobnego pyłu, nazywanego złotym piaskiem.

*Srebrna Gwiazda* pewną być może, że podawane przez nas wiadomości o Japonii z poważnych i wiarogodnych czerpane źródeł zasługują na wiarę, to zaś wszystko, co wypisuje o tym kraju wspomniany przez nią, niefortunny autor, natchnione jest jedynie przez złą wolę, połączoną z nieznaną miejscowych stosunków.

**P. A. Drzewinie.** Rękopis odebraliśmy i prosimy o przysłanie swego adresu.

**P. Z. Ł.** w Jareszce. Spodziewamy się, że pani odebrała list nasz i żądane książki.

Do odpowiedzi danej w poprzednim numerze **Autorce wierszyków**, którą prosiliśmy o obranie sobie innego pseudonimu, dodajemy jeszcze, że z zapytaniem, dotyczącem czytania wspomnianych przez nią książek, zwrócić się powinna do rodziców, lub do zastępujących ich miejsce osób, gdyż każdy pod tym względem może mieć wyobrażenie niezgodne z naszym.

Spodziewamy się, że **Nadzieja** z Częstochowy zdobywszy się, jak powiada, na odwagę pierwszej korespondencji, częściej odtąd do nas odzywać się będzie. Jak do szczerych i dobrych przyjaciół, którzy nie zawodzą pokładanego w nich zaufania.

**Śmieszce** z nad Smotrycza pospieszamy donieść, iż pisaliśmy już niejednokrotnie w „Wieczorach”, że tylko z Redakcją lub z Jaskółką korespondować mogą ich czytelnicy.

**Zosi J.** żądany dodatek powieściowy wysłany został.

Trafne rozwiązanie szarad i logogryfów nadesłali: **Czczotka, Skowronek, Różia M. i Steficia H.**

Łamigłówki swego układu dostarczyli nam: **Dudek z Kamieńca i Gucio M.**

Jakżeby cię **Sroczo** nie miała chcieć przyjąć do grona korespondentek moich, gdy obie z ptasiego pochodzimy rodu, a nadto podziwiam zawsze twój dowcip i radabym nawet nauczyć się od ciebie budowania gniazdek, które tak zręcznie nakrywasz kołczastą tarniną, zabezpieczając je od napaści nieprzyjaciół. Przykro mi też bardzo, że z pierwszego twego zlecenia wywiązać się nie mogę. Do przysłanego bowiem przez ciebie zadania konikowego i łamigłówki brak rozwiązania, bez którego redakcja nawet przeglądać ich nie może, nie mając czasu na odgadywanie.

Do usług zawsze gotową mnie znajdziesz **Niezapominajko** z nad Warty, ale czy potrafię być ci pomocną, nie wiem, bo gdzieś szukać potrzebnej do najniewinniejszej nawet intrygi zręczności, u prostodusznej i prawdomównej Jaskółki! Co do twojej przesyłki, kochana *Niezapominajko*, słyszałam, że nic nie pozostawia do życia.

Ściskam serdecznie kochaną **Wandzię** z nad Warty i czekam z upragnieniem chwili, w której zdrowie pozwoli jej do mnie napisać. Tymczasem oddałam łamigłówki jej Redakcyi, która zapewne umieści je, jeżeli odpowiedzą żądanym warunkom.

Przypuszczenie twoje kochana *Niezapominajko* z W. słusznem było, iż listy wasze nie doszły rąk moich; zwykłam akuratnie na każdą zwróconą do mnie odezwę odpowiadać, a cóż dopiero gdy ta pochodzi od dawnych, życzliwych znajomych, jakimi jesteście obiedwie z siostrą! Cieszy mię, że cię zajmuje powieść: „Dla szczęścia rodziny”, bo i mnie się ona bardzo podobała.

Dobrze zrobiłaś **Wiochno** z pod Wielunia, że mając do spełnienia zajęcie gospodarskie, z zaspokojeniem ciekawości, jak praca wasza na konkursie ocenioną została, wolałaś poczekać. W każdym położeniu, w każdej okoliczności, w każdej chwili życia, poczucie obowiązku nad zadowoleniem przyjemności własnej górować musi, a do szanowania tego prawa i stosowania go tak w mało znaczących, jak w ważnych sprawach, nie przestanie was zawsze zachęcać szczerze życzliwa

*Jaskółka.*

## Od Redakcyi Kroniki Rodzinnej.

„Kronika Rodzinna” wychodzić będzie w kwartale b. w tychże samych warunkach i kierunku. Oprócz działu ze świata wiedzy, zapoznającego z nowymi odkryciami i wynalazkami na polu naukowem, zamieszczać będziemy pogadanki pedagogiczne, sprawozdania z nowych dzieł wydawanych w kraju i zagranicą, wiadomości dotyczące praktycznego życia pracy, oraz kwestyi ogólnego interesu. Dawać też będziemy stale korespondencje zagraniczne, powieści oryginalne i wyborowe obce przekłady, podróże rodaków i niewydane pamiętniki.

Uprasza się o wczesne złożenie przedpłaty, tych, którzy nie chcą doznać opóźnienia w przesyłce pisma.

### PRENUMERATA:

w WARSZAWIE rocznie rs. 4 — na poczcie w kraju i granicą rs. 5 (t. j. w Galicyi zlr. 6, w Poznańskim marek 10), stosownie do tej ceny oplata półroczna i kwartalna. Przesyłki pieniężne adresować należy wprost do Redakcyi:

**Warszawa, ulica Mazowiecka Nr. 10.**